

OPLATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM.

WARSZAWA, ŚRODA 4 STYCZNIA 1928 ROKU № 18

PIŁOMIYIK

Tygodnik ilustrowany dla dzieci i młodzieży



Wszystkim naszym Czytelnikom, którzy złożyli nam życzenia świąteczne i noworoczne, serdecznie dziękujemy.

OD ADMINISTRACJI.

Pierwszy numer „Piomyka” ukazuje się zawsze z początkiem roku szkolnego, to jest na początku września. Nowi Prenumeratorzy, którzy zaprenumerowali „Piomyk” od stycznia, mogą otrzymać wszystkie numery, począwszy od września, za opłatą 6 zł. (wraz z „Piomyczkiem” — 8 zł.).

JAK ZROBIĆ STROJE DO OBRAZKA SCENICZNEGO P. T. „KRÓLOWA ZIMA”.

Jak się dowiadujemy z listów, nie wszyscy umieją dać sobie radę ze strojami postaci, występujących w niedawno wydrukowanym obrazku scenicznym, p. t. „Królowa Zima”, podajemy Wam więc opis, jak te stroje zrobić.

Mróz. Cały ubrany biało. Czapka biała, z pod której zwieszają się srebrne papierki w kształcie sopli lodowych.

Królowa Zima. Płaszcz biały z prześcieradła, lub bibułki, pokrytej srebrnymi gwiazdeczkami. Czapka, jak na rysunku, śpiczasta, bia.a. Na srebrnej śpiczastej koronie gwiazdeczki. Od szyi na ramionach spuszcza się srebrny deszcz (używany na choinki).

Szroniki. Do blade-niebieskiego lub białego trykotu przymocować całemi rzędami śpiczaste rurki ze srebrnego papieru tak, ażeby sterczały końce.

Płatki śniegu. Biały trykocik, pokryty sukienką w falbanki (z bibułki); na każdej falbance umieścić po trochu waty i posypać świecącym proszkiem, np. boraksem.

Rybka. Ze złotego papieru wycięta łuska. Ogon i pletwy ze zwyczajnego białego muślinu ukrochmalonego, splisowanego; po zrobieniu lekko gdzieniegdzie złotą farbą pociągnąć.

Zyto. Brązowy trykot. Od pasa do góry blade-zielone (długie) listki — trawki, od dołu jasne korzonki. Wszystko z bibulek, przymocowanych do drucików. Twarz i ręce ciemne.

Wróbel, Wrona i Gil. Trykot odpowiedniego koloru. Skrzydła przymocowane do rękawów. Można zrobić z drutu i pokryć bibułką.

Potok. Granatowe obcisłe ubranko. Wianuszek z muszelek, z pod których zwiesza się cała masa szarych, zgniło-zielonych i seledynowych wstążek. Pantofelki też obszyte muszelkami.

LISTY OD REDAKCJI.

DO JANKA RÓŻAŃSKIEGO W MASZTALERZACH. Pisz dalej. Te utwory, które nam przysłałeś, schowaliśmy do teki z pracami dzieci. Będą one wydrukowane w maju w specjalnym numerze. Prawdopodobnie któryś z Twoich utworów będzie wydrukowany.

DO JANKA PRZYŁUCKIEGO W GARBOWIE. A czy z powodu tych „walk śniegowych” nie spóźniacie się do szkoły? Bo pomimo wojennego zapału trzeba przecież nie zapominać o tem, co jest najważniejsze.

DO UCZENIC KL. III a GIMNAZJUM W GNIEŹNIE. Pewnie z niecierpliwością będziecie oczekiwały wiosny, by pójść znów do parku miejskiego zobaczyć, jak to z pączków pokazują się młode, delikatne listeczki. Ale przed nami jeszcze długie miesiące zimy...

DO UCZENIC KL. III b SZKOŁY W NOWYM SĄCZU. My będziemy pamiętać o Was, ale nie zapominajcie i do nas pisywać.



DŁOMYK
TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

U żłobka.

*My, polskie dzieci, o Jezu drogi,
do Twej stajenki biegniemy wrót...
Jakiś Ty, Jezu, w żłobku ubogi,
a tak bogaty w skarb boskich*

cnót!

*Stajenka mała — Twój domek
liczy:
strzecha słomiana i niski próg,
a w niebie cudów Ty masz*

przepychy,

*boś Ty Pan światów, Tyś wielki
Bóg!*

*Tu pokłon dają Ci pastuszkowie,
wólek u żłobka Twojego legł.*

*A w niebie chwałą Cię Aniołowie
i chwalić będą po wieków wiek...
I błogostawisz dokoła ziemię,
rączkę swą małą podnosząc*

wzwyż,

*choć wiesz, że ciężkie przyjąłeś
brzemię
i na Golgotę nieś będziesz*

krzyż...

*O, Zbawicielu, o Dziecię Boże,
u Twej stajenki otwartych wrót
składa dziś Tobie w wielkiej*

pokorze

swe serce wierny Twój polski lud.

M. CHEŁMOŃSKA.

Nowy Rok w Chinach.

Chińczycy naogół mają bardzo mało świąt, pracują przez cały czas, nawet bez niedzielnego wypoczynku, ale Nowy Rok za to świętują przez dwa tygodnie. Wtedy cała kraina „Złotego Smoka” wygląda niezwykle ciekawie.

Na ulicach zbudowane są triumfalne bramy, a różnokolorowe chorągiewki ozdabiają świątynie, teatry i domy, wieczorami zaś w niezliczonej ilości palą się lampiony. Przechodnie, odświętnie ubrani, witają znajomych specjalnym ukłonem: klękają na jedno kolano, przytem składają ręce i parokrotnie pochylają głowę. Wnętrza domów upiększają malowane na papierze obrazy, przedstawiające bogów, ludzi i zwierzęta, o pięknych barwach i delikatnym rysunku.

Z rana Chińczycy tłumnie odwiedzają świątynie, gdzie przed bóstwem składają ofiarę, choćby najpospolitszą, spalając cieniutką świecę ze skręconego papieru. Następnie urządzają procesję, niosąc smoka,

zrobionego z tektury, o srebrnej głowie, z wylupiastemi oczami, wizerunki różnych zwierząt, chorągwie, napisy i t. d. Wszystko to się odbywa przy ogłuszających dźwiękach muzyki, w której zwykle góruje gong, wielki miedziany kocioł.

Na otwartej scenie, z bardzo małemi przerwami, odbywają się przedstawienia teatralne. Artyści występują w strojach historycznych, jakie dawniej noszono, bardzo bogatych i ślicznie haftowanych. Twarze mają umalowane lub okryte maskami o potwornych nosach. Kuglarze uliczni bawią publiczność, popisując się gimnastyką i rzucaniem noży, lub pokazując sztukę z wytresowanym niedźwiedziem albo też małpką. Pomiędzy tłumem, jak zwykle, snują się wędrowni przekupnie, sprzedający rozmaite łakocie. A całe powietrze rozbrzmiewa od ogłuszających wystrzałów sztucznych ogni, w których Chińczycy bardzo się kochają. Taka zabawa trwa przez cały ten czas codziennie do późnej nocy.

Marja Juszkiewiczowa.

Trzej Królowie.

*Trzej królowie, monarchowie
za góry i rzeki
z ciekawością i ochotą,
zapatrzeni w gwiazdę złotą,
jadą w kraj daleki.
Ten na koniu, ten na słoniu,
na wielbłądzie trzeci
uroczyście i z paradą
przez dni wiele jadą, jadą
tam, gdzie Gwiazda świeci.*

*Piękne szaty, strój bogaty
i wygląd wspaniały,
a pokornie chylą głowy.
Ten poważny, ten surowy,
a ten czarny cały
dla Dzieciątka, dla paniątka
skarby wiozą w dani.
Przed stajenką, skromną, lichą
Trzej Królowie klęką cicho,
jak skromni poddani...*

ALINA KWIECINSKA.





Mal. J. Chetmoński.

POLOWANIE NA WILKI.

Przygoda z wilkami.



...pochodnię... wiatr co chwilę zdmuchiwał...

Dziś, moja kochana Ewuniu, opowiem ci jedną ciekawą i straszną przygodę z dawnych czasów.

Otóż przed wielu, a wielu laty matka moja, a twoja prababcia, wybrała się pewnego razu w zimie odwiedzić swą córkę zamężną, której majątek leżał daleko od kolei.

W podróży tej towarzyszyły prababci dwie młodsze córki: Marynia i Joasia, a także narzeczoną jednej z nich.

Na stację wysłano karetę obszerną, zimową, z futrami, by w razie wielkiego mrozu, miłym gościom, jadącym w odwiedziny nie było zimno.

Podróż, którą opisuję, miała miejsce jakoś wkrótce po Nowym Roku, kiedy dni są jeszcze krótkie, noce natomiast niezmiernie długie i zimne. Pociąg przychodził na stację wieczorem tak, że podróżować trzeba było w nocy.

Noc ta była szczególnie niemiła: silny wicher dął w polu z niezwykłą siłą, wciskając się do powozu przez najmniejsze szczelinki, a ostry chłód przenikał do szpiku kości. Tumany śniegu wirowały w powietrzu, zasypując drogę, której miejscami nie można było wcale odnaleźć. To też podróż odbywała się wolno.

Tymczasem ciemno już się zrobiło zupełnie: księżycy nie było wca-



...wilki stawały się coraz bardziej natarczywe...

le, gwiazdy się gdzieś w chmurach pochowały, pochodnię, wziętą z domu dla oświetlenia drogi, wiatr co chwilę zdmuchiwał, a latarnie od karety rzucały tylko słabe światło, co przy tak złej drodze nie wystarczało. Wreszcie po wielu trudach i mokołach wjechało w las, ciągnący się na wielkiej przestrzeni. W łecie ten kawałek drogi uchodził za naj-

przyjemniejszy, dziś jednak jakiś lęk mimowolny ogarnął naszych podróżnych.

Nagle wiatr przyniósł dalekie odgłosy wycia wilków.

Wycie to zbliżało się coraz bardziej i było tak potężne, że zapewne wychodziło z piersi całego stada zgłodniałych bestyj. Spotkanie się z tą zgrają straszłą nie należało do rzeczy miłych; chciano zawrócić, by wyjechać z lasu, lecz, jak na złość, konie wpadły w dół jakiś, którego nie było widać pod śniegiem, a karetą, pochylona na bok, ugrzęzła tak głęboko, iż niepodobieństwem było ruszyć z miejsca.

Stangret, lokaj i młody pan, który przez okno zdołał się z powozu wygramolić, próbowali z największym wysiłkiem postawić karetę i zachęcić konie do biegu, lecz wszystko, niestety, okazywało się daremne.

Wilki tymczasem, poczuwszy żer obfite, zaczęły ściągać z całego lasu i coraz bliższem kołem otaczać trzęsących się ze strachu podróżnych, nie mających przy sobie żadnej broni, co zresztą w danym wypadku wobec całego stada napastników i unieruchomionego pojazdu nie na wieleby się przydało.

Wtem matka moja, skończywszy właśnie odmawiać „Pod Twoją Obronę”, odezwała się głosem spokojnym i stanowczym, wydając rozkazy krótkie i zwięzłe, zwrócone do drżących ze strachu służących:

— Przeciąć koniom uprząż, wiążącą je, by się z dołu wydostały, wsiąść na nie i pędzić do sąsiedniej wsi po pomoc, a tymczasem podać nam tu latarnie od powozu, pochodnię i zapałki!

Stangret i lokaj wskoczyli lotem błyskawicy na konie, uwolnione z więzów, parszające obecnie trwożnie, lecz i radośnie zarazem i pomknęli galopem, by ująć pogoni rozzuchwalonych wilków.

Matka moja tymczasem, przywoławszy narzeczonego córki z powrotem do karety, kazała mu szczerze zamknąć drzwiczki i podnieść szybę w oknie.

Karetą, ze wszystkich stron szczelnie zamkniętą, była jakby małą twierdzą obronną, której dzikie bestje nie umiały zdobyć, nie przypuszczając, iż szyby szklane przysłyby pod naporem ich pysków i łap.

Aby jednak nie ryzykować nadto i odsunąć od siebie, jak można najdalej, możliwość przypadkowego stłuczenia szkieł przez napastników, kazała matka utrzymywać wciąż ogień wewnątrz powozu. Wypalono więc świece z latarni, następnie kopcono pochodnię, od której wszyscy się krztusili, wreszcie, gdy i tej zabrakło, pocierano zapałkę jedną po drugiej.

Już kilka zapałek tylko pozostało do odstraszenia, a tymczasem wilki stawały się coraz bardziej natarczywe, krążyły — tuż, tuż, pokazywały przez szyby swe pyski okrutne, pełne zębów ostrych.

Wkońcu, ośmielwszy się, zaczęły łapami i mordami szturchać w okno, z początku ostrożnie, następnie coraz gwałtowniej.

Ostatnia chwila zdawała się zbliżać, ostatnia zapałka już zgasła...

Wszyscy, przytuleni do siebie, trzęśli się ze strachu i jeszcze raz, płacząc, odmawiali „Pod Twoją Obronę”.

Wtem, o dziwo! Rozlegają się wystrzały jeden po drugim, sły-

chać tętent galopujących koni i gwar zbliżającej się gromady ludzkiej.
To stangret i lokaj prowadzą uzbrojoną pomoc ze wsi!

Wilki, poczuwszy niebezpieczeństwo, pierzchły, jak na komendę, pozostawiając na drodze paru rannych towarzyszy.

Wkrótce wszystko zostało doprowadzone do porządku i z radością, nie dającą się opisać, udano się w dalszą drogę, która się odbyła bez najmniejszych przeszkód aż do miejsca przeznaczenia.

H. Bobińska.

Korona Lecha.

Legenda.



Niech ta korona tobie i narodowi przyniesie błogosławieństwo...

W on czas, kiedy w Betleem, w ubogiej stajence, narodził się Chrystus, w kraju polskim panował Lech. Skromnych obyczajów był to monarcha, mieszkał w chacie strzechą słomianą krytej, chodził w odzieniu lnianej, domowej roboty, a kmiecie byli jego braćmi.

Aż oto na głowie Lecha spoczęła królewska korona.

Było to tak:

Trzej Królowie, dwaj ze wschodu, z za rzek Tygrysu i Eufratu, a trzeci, Scyta, z dalekiej północy, wracali z Betleem od żłobka Chrystusowego, gdzie byli złożyć pokłon. Nakładając drogi, omijali dwór Heroda, by Dzieciątko Jezus od śmierci uchronić. Wyminąwszy siedzibę Heroda, pożegnali się i każdy ruszył w swą drogę, do domu.

Dwaj Królowie zwrócili się ku wschodowi, trzeci, Scyta, ku północy.

Ciężka i niebezpieczna była podróż króla Scytów. Przedzierać się musiał przez ogromne bory, zarosłe gęstwina, i olbrzymie ugory, najezone kamieniami i ostem. Walczył z dzikimi zwierzętami, które zamieszkiwały bezludne puszcze; a czasami, napotkawszy złych ludzi, musiał z bronią w rękę bronić swego królewskiego dobra.

Dzieciątko Jezus, któremu składał pokłon, miało go w swej opiece, bo po długich dniach i nocach podróży przez nieprzebyte knieje, bagna, stepy, porośnięte chwastem, wyjechał z czarnych, mrocznych borów w kraj uprawny i zamieszkały przez ludzi osiadłych.

Wyjechał na pole i zdumienie ogarnęło go wielkie.

Hen, daleko, jak oko sięgnie, ciągnęły się łąny pszeniczne, istna gąszcz, a takie wysokie, że rosły chłop chował się w nich z głową.

Staął król i duma:

— Jak ja przejdę przez tę gęstwinię?... W puszczy łatwiej było drogę znaleźć... Tu, w tem złotem morzu, ubarwionem błękitem i purpurą, na wieki przepadnę...

Kiedy tak zafrasowany król dumał, doleciał go odgłos fujarki.

— Pójdę przez ten gąszcz, ku onemu graniu — pomyślał król. — Tam muszą być ludzie.

Poszedł i dobrze zrobił.

Już pod zachód słońca, co purpurą i złotością malowało łąki, żytnie i pszeniczne pola, sadyby ludzkie, otulone owocowemi sady, co tyśiącami złotawych iskier kąpało się w rzece — wydostał się król z pszenicznego gąszczu.

Na łące, zaganiając trzodę, młode pacholę na fujarce grało.

Podszedł ku niemu król Scytów:

— Czyja to ziemia, dziecino? — zapytał.

— Wszystkich Lechitów! — odpowiedziało dziecię.

— A kto tu panuje, rozkazuje, kto najstarszy?

— Lech! — odrzekło pacholę, wpatrując się w przybysza modremi oczyma.

— Prowadź mię do niego — rzekł król.

Zaganiając trzodę, poprowadziło pacholę króla Scytów do lechowej zagrody.

Na przyźbie, pod ścianą chaty, z grubych bierwion postawionej, siedział Lech. Jasnym i pogodnym wzrokiem patrzył w świat i na przybyłego. Ubrany był w lipowe postoly, w zgrzebną, lecz bieluchną, jak śnieg, koszulę, na niej miał kozuch, kolorowemi nićmi misternie wyszyty.

Z całej postaci Lecha biła powaga i majestat monarszy. Więc Scyta poznał, że z królem ma do czynienia, równym sobie.

— Lechu, władco tej krainy — rzecze Scyta, — daleką odbyłem drogę, bo do żłobka Jezusa... Jestem strudzon i głodny... Nie odmówisz mi dachu nad głową i kęsa strawy?

Lech rozтворzył szeroko ramiona i wziął w objęcia obcego króla.

— „Gość w dom, Bóg w dom” — zawołał. — Święte są prawa gościnności w Polsce. „Czem chata bogata, tem rada”. Bywaj, obcy przybyszu, w progach moich!

Wprowadził gościa do wnętrza chaty, mleka kazał przynieść, miodu, białego kołacza.

Przez długie dni gościł Lech królewskiego gościa i dobrze im było razem.

Nadszedł dzień wyjazdu. Lech prosił, żeby przybysz z nim pozostał dłużej, choćby na całe życie, lecz obcy król odpowiedział:

— Dobrze mi tu z tobą, bracie, bardzo dobrze! Kraj twój piękny, urodzajny, wyłaczany pszenicą i żytem, pisany modrym chabrem i purpurą maków, lud poczciwy, lecz muszę wracać do swego kraju.

Odjeżdżającemu królowi dał Lech w podarunku: futra dzikich zwierząt, miodu, białych kołaczy i sznury bursztynów.

Scyta zaś, odwdzięczając się za gościnność Lecha, wyjął z tłumoków koronę, w której składał pokłon Dzieciątku Jezus, i włożył ją na głowę Lecha.

— Masz, bracie, odznakę swej godności, koronę, boś wart tego i kraj twój... Koronę tę Dzieciątko Jezus głąskało swemi rączkami i złożyło na niej pocałunek świętymi usteczkami. Niech ta korona tobie i narodowi przyniesie błogosławieństwo Jego, szczęście i sławę... Niech naród twój będzie obrońcą Dzieciątka Jezus.

Ta korona Lecha, którą Chrystus przez swój niebiański pocałunek pobłogosławił i poświęcił, przyniosła Polsce sławę rycerską, uczyniła z niej przedmurze chrześcijaństwa, dała wielkie majątki, potęgę i powagę u obcych i wskrzesiła ją do nowego życia ze szponów trzech czarnych sępów.

Stanisław Nodzeński.



Jak Boleczek śnieg sprowadził.

Robiono porządki w zachowanku pod schodami. Dzieci z zajęciem przyglądały się, jak Marysia wyciągała z komórki różne zapomniane przedmioty: zepsuty rower Władka, trąbę od gramofonu, wielki, zielony klosz od sztucznej lampy i inne ciekawe rzeczy. Wyjęła też małe, zakurzone saneczki.

— Trzeba je zreperować — rzekła, — będziecie mogli doskonale jeździć.

Boleczkowi aż zabłyśły oczy. Zupełnie zapomniał, że istnieją te sanki. Jak rzecz cudownie znalezioną, obchodzi je i dotyka paluszkami. Przypomina sobie, jak to pysznie było zjeżdżać z górki... Boleczek chce koniecznie zaraz przejechać się saneczkami. Ale niema śniegu... Żałośnie spogląda na szyby, spląkanę od deszczu, i pyta:

— Marysiu, kiedy będzie śnieg?

Ale Marysia niema czasu rozmawiać z dziećmi. Wysła je spać, bo już późno. Boleczek posłusznie rozbiera się, ale cały czas myśli o sankach. Leżąc już w łóżeczku, zadaje pytanie bratu:

— Władku, kiedy będzie śnieg?



...siadł na krawędzi łóżka...

Siedmioletni Władek chętnie udziela swych wiadomości malcowi:

— Będzie śnieg, jak na dobre będzie zima.

— A kiedy będzie zima?

— Niedługo.

— Kiedy niedługo?

— Czy ja wiem?..



Boleczek ze zdumieniem przyglądał się...

Władek wkrótce zasypia, ale Boleczek myśli i myśli, kiedy będzie nareszcie śnieg, dużo, dużo śniegu!

Nagle stało się coś dziwnego. Kolorowy ptak z obrazka, o którym babcia często opowiadała bajkę, cudowny ptak ożył. Zatrzepotał skrzydłami, siadł na krawędzi łóżka Boleczkowego i śpiewa:

Złotopióry ptak
radzi zrobić tak:
Czas miesiąc nitkę przędzie,

gdy Czas zechce — zima będzie.
Chodźmy prosić Czas,
on wysłucha nas.

Zdumiony chłopczyk nie wie, co odpowiedzieć. Aż tu ptak robi się duży, duży i znów śpiewa:

Ja, ptak złotopióry,
proszę cię pod chmury,

poniosę w zaświaty,
ptak z bajki skrzydlaty.

Boleczek już przestał się dziwić. Chwycił ptaka za szyję i poleciał. Lecieli bardzo długo, ale chłopczyk nic nie widział, bo bał się, żeby nie upaść i ze strachu zamknął oczki.

Kiedy się zatrzymali, Boleczek spojrzął przed siebie i zobaczył starca, siedzącego na fotelu. Złoty ptak powiedział:

Oto jest Czas.
Czas ogromnie już jest stary.
Jego władza nie zna miary...
Czas przeróżne widział rzeczy,

Czas niedolę każdą leczy,
Czas przesuwa dni i lata,
Czas kieruje życiem świata.
Oto jest Czas.

Boleczek ze strachem i uszanowaniem przyglądał się starcowi.

Czas był naprawdę bardzo stary. Tak stary, że z pod zmarszczek i za-
rośniętych brwi prawie nie było widać oczu. Oczy te bezustannie, nieru-
chomo wpatrywały się w olbrzymi zegar na podłodze. Zegar ten był
bardzo dziwny. Boleczek ze zdumieniem przyglądał się i słuchał obja-
śnień. Oto dwanaście wysokich postaci w powłóczystych szatach. To
Godziny. Chodzą wolno, poważnie dokoła. Sześćdziesiąt małych, które
nazywały się Minuty, biegało szybko w środku tego koła. A Sekundy,
maleńkie istotki, biegały tak prędko, że Boleczek nawet nie mógł zliczyć,
ile ich jest. Podobno też sześćdziesiąt. Czas bezustannie patrzył na ten
dziwny zegar i pilnował, żeby wszystkie postacie ciągle biegały i zawsze
jednakowo. Sekundy nuciły cieniutkim, zgodnym chórem:

Tik - tak, tik - tak!
Choć czasem sił nam brak,
biegamy dookoła,
bo Czas wciąż na nas woła.
Zatrzymać nas nie może,

bo wszystko w swojej porze
być musi jednakowo.
Biegamy więc miarowo,
choć czasem sił nam brak.
Tik - tak, tik -tak! ...

Zamyślił się Boleczek. Po chwili zbliżył się do Czasu z nieśmiałą
prośbą, żeby te postacie jeszcze prędzej biegały. Wtedy i większe muszą
posuwać się prędzej. A gdy cały ten dziwny zegar poruszy się szybciej,
to zaraz będzie nadobre zima. A on, Boleczek bardzo chce, żeby już było
Boże Narodzenie, i Nowy Rok i śnieg, bo właśnie jego saneczki!...

Nie odwracając oczu od dziwnego zegara, Czas przerwał twardym
głosem:

Od początku świata
Czas jednaką przędzie
miesiące i lata.
I zawsze tak będzie.

Nie chce kto, czy pragnie,
litości nie wzbudzi,
bo Czas się nie nagnie
do życzenia ludzi.

Starzec miał surową, niewzruszoną minę, aż Boleczkowi łzy za-
błysły w oczach. Zaczął już bródkę krzywić do płaczu, kiedy złoty ptak
zatrzepotał skrzydłami i zaszeptał mu pociechę do uszka: kiedy Czas
jest tak nieubłagany, polecą do Króla Zimy, może on coś na to poradzi.
Chłopczyk otarł łezki i znów polecieł.

Dokończenie nastąpi.

Jak powstają zabawki?

Mój mały siostrzeniec Jurek to wielki majster. Przychodzę pew-
nego dnia, przynoszę drewnianego konika z wózkiem. Jest ogromna
radość. Przychodzę nazajutrz, Jerzy wita mnie z poważną miną:

— Ciociu! konikowi złamała „się” noga, a w wózku odleciał
dyszal.

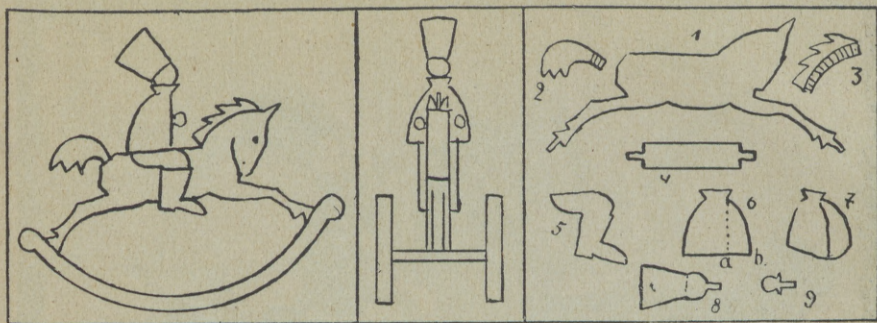
Siadamy więc i reparujemy, a Jurek zasypuje mnie pytaniami:

— Jaką nową zabawkę robią teraz w fabryce? Jakiego koloru
będzie samolot? Czyś kazała zrobić wóz strażacki?

Ledwie zdążę odpowiadać. Odchodzę z nowym obstalunkiem:

— Tylko poproś, by prędko skończyli — żegna mnie malec.

Parę dni temu przychodzę, a do przedpokoju wychodzi Jurek bar-
dzo poważny, ale nie mówi nic. Więc ja zaczynam:



— Odleciało koło od samochodu?

— Nie, ciociu, są wszystkie.

— Armata przestała strzelać? — zgaduję dalej.

— Nie, ciociu, strzela.

— Może pękł sznurek od pajaca?

— Nic się, ciociu, nie zepsuło, bo ja się dzisiaj wcale nie bawiłem zabawkami.

Zdziwiona, chcę wiedzieć, dlaczego.

— Bo ja myślę o jednej poważnej sprawie.

Zaczynam się śmiać, Jurek jest obrażony, Boże! nawet łzy. Więc już poważnie proszę, by mi powiedział, co to za sprawa.

Widzisz, ciociu, ja chcę fabrykować zabawki. Ty mnie nauczysz— prawi malec, zapalając się, — i będę robił sobie, co będę chciał, dla siebie, Ewy, Stasia, Wańdzi, Anielci, dla wszystkich znajomych dzieci.

— Oj, Jureczku kochany, nie tak to łatwo fabrykować zabawki. Rzucisz drewnianego konika w kąt — już konik złamany. Ale, żeby go zrobić, żeby ze starego buka, co rósł w lesie, powstał taki rumak malowany, dużo czasu musi upłynąć, dużo maszyn trzeba użyć, dużo ludzi musi pracować.

— No, to opowiedz, ciociu, jak się to robi — prosi Jurek — bo, jak będę duży, to już napewno będę fabrykował zabawki.

Więc zaczynam.

— W tej fabryce, gdzie ja pracuję, robi się zabawki drewniane. Co tydzień przyjeżdża dużo wozów, naładowanych deskami i belkami, które układa się na podwórzu w szopach, żeby deszcz nie zmoczył, bo do roboty trzeba mieć drzewo suche.

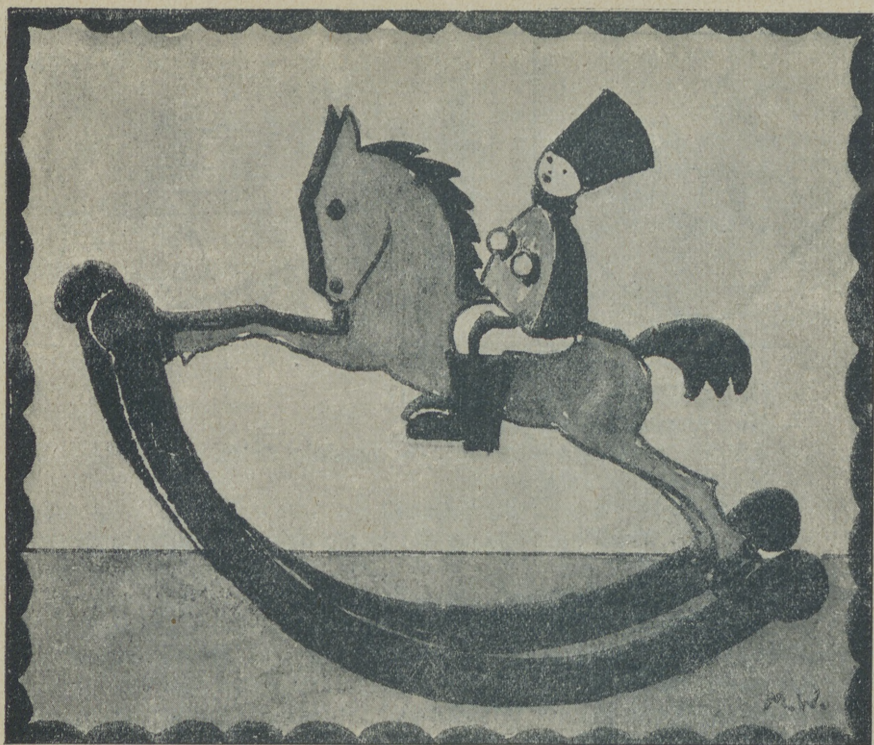
— Co się robi z belek, a co z desek, ciociu?

— Daj mi tego konika na biegunach z jeźdźcem. Widzisz, bieguny, sam konik, ogon i grzywa są płaskie, z deseczek cieńszych, lub grubszych, a pelerynka jest...

— Okrągła — kończy Jurek.

— Tak. Żeby utoczyć tak okrągło kawałek drzewa, deski są za cienkie, trzeba mieć bale.

— Już jedną rzecz wiem — mówi mój mały słuchacz, przypatrując się uważnie konikowi.



— I ty tłumaczysz robotnikom, jak mają wycinać?

— Tłumaczyć, to zamało, ja rysuję. Do tego konika zrobiłam jeden rysunek z boku, drugi z przodu i jeszcze każdą część oddzielnie. Przychodzi pan majster, ogląda rysunki, mierzy i idzie do warsztatu. Każę deski pociąć na ćwierćmetrowe kawałki. Poszczególne części, 1, 2, 3, 4, 5, kalkuje na cienkiej deseczce i wycina. Według tych, tak zwanych „szablonów”, jeden z chłopców rysuje na deskach po wiele razy każdą z tych części, które inny robotnik wycina piłą taśmową, to jest jakby laubzegą, która, poruszana elektrycznością, przedziutko chodzi z góry na dół w otworze stołu, na którym posuwa się deskę do wycięcia. Deski, z których się wycina, są grube czasem na parę centymetrów. Ta grubość na konika jest odpowiednia, ale ogon, grzywa, (które się wycina oddzielnie i potem wkleja) mają być cienkie. Co teraz zrobimy?

— Może rozetniemy? — patrzy Jurek pytająco.

— Tak, zgadłeś, i przez to robota jest o wiele szybsza. Wyciął robotnik jedną bardzo grubą grzywę, a inną maszyną raz, dwa, trzy rozcina — i mamy odrazu z jednej grubej 8 grzyw cienkich.

Kiedy w jednej hali wykańczają płaskie części, pan majster już zarządził robotę przy tokarce. Pocięto odpowiedniej grubości bale na krótkie kawałki. Tokarz nakłada je na tokarkę, która kręci się z ogromną



szybkością, poruszana też elektrycznością; tokarz mierzy cyrklem według rysunku, przykłada raz grubszy, raz cieńszy nóż, tak długo, póki nie otrzyma właściwego kształtu.

Utoczył kawałki na pelerynki (Rys. 6, 7) potem główki z kapeluszami (8) i rączki (9).

Teraz wszystkie składowe części są gotowe. Pan majster sprawdzi według rysunku, co jeszcze w tych częściach trzeba wykończyć. Żeby otrzymać takie pelerynki (jak na rys. 7), trzeba z utoczonych kawałków (6) odciąć część a. b.

Konik wycięty z grubej deski ma złączone obie tylne nogi i obie przednie — trzeba je porozcinać, w pelerynce trzeba wywiercić dziurki na wbicie głowy i rąk, trzeba zrobić dziurki w deseczkach na umocowanie nóg konika i wyciąć zagłębienia na wklejenie grzywy i ogona.

— Jutro konik z jeźdźcem idzie do montowania, (montowanie to składane zabawki z poszczególnych części) — oznajmia mi Szczepan, najdzielniejszy z naszych chłopców.

Pan majster rozdaje robotę: Walek będzie wbijał głowy i ręce, Mietek przyklei jeźdźca do konika, Szczepan — osadzi konia na biegunach.

Nazajutrz w montowni praca wre. Każdy chłopak ma przy sobie skrzynki z częściami, które składa; sklejoną robotę ustawia przy sobie, póki jej z kolei nie zabierze sąsiad do dalszej pracy.

— Niedobry on jest — słyszę głos z za stołu, gdy oglądam robotę. „Niedobry”, w języku naszych chłopców, znaczy trudny. Ale Szczepan staje w obronie konika: — Nie taki on znów najgorszy, zrobi się w poniedziałek przemarsz do malarni.

Przeraźliwy gwizdek obiadowy rozdziera powietrze, głuszy jakiś dźwięk Szczepana i chłopcy pędem zbiegają ze schodów na dół.

Tymczasem malarnia szykuje się na przyjęcie nowego modelu.

— Proszę pani, jakie będą kolory?

Farby przeważnie robi się w fabryce. Malarki gotują lakier, mieszają z farbą w proszku i wlewają do młynka. Kręcą i wypływa czysta, równa farba bez gruzełków. Farbę rozlewają do blaszanek. Każda dziewczynka dostaje porcję potrzebnych kolorów; ustawia przed sobą 50, czasem 100 sztuk i bierze się do gruntowania grubym pendzlem. (Gruntowaniem nazywają pokrycie całej zabawki białą farbą). Póź-



niej przysuwa blaszankę z jednym kolorem i po kolei maluje nim w każdej zabawce to, co tym kolorem pomalować trzeba. Farby wysychają prędko: zanim namaluje ostatnią sztukę, już farba na pierwszej wyschła o tyle, że można kłaść następny kolor.

Już na schodach słycać chóralne śpiewanie. Dziewczynki utrzymują, że im robota lepiej idzie, gdy śpiewają, więc im tego nie bronią. Wchodzę. Na wszystkich stołach, jak zakłète szeregi bajkowych zbójników, stoją rzędy tych koników z jeźdźcami. Niektóre kiwają się miarowo. Na półkach wysychają poprzednio malowane słonie i koguty.

Jak w montowni Szczepan, tak tutaj rej wodzi rezolutna Stefka. Jest zdolna i chętna, uczyłam ją rysować i ona bierze zawsze najtrudniejszą robotę. Gdy zbliżam się do niej, wyciąga z pod stołu konika, którego pomalowała według swego gustu: — Czy się pani podoba?

Czasem pomysł Stefki jest dobry i zgadzam się, by część zabawek według jej projektu pomalować. Stefka jest wtedy bardzo dumna. Pokazuje swoje dzieło i oznajmia głośno:

— Moje panie, oto nowy model do malowania.

Gdy farby dobrze wyschną, panienki zanoszą swoją robotę do magazynu. Zdarzają się wtedy smutne niespodzianki. Magazynierka każdą zabawkę ogląda: gdy jest brudna, uszkodzona, albo niedokładnie namalowana — trzeba poprawiać. W magazynie zabawki pakuje się w papier i układa na półkach.

Na zakończenie przychodzi jeszcze kierownik.

— Proszę pani, model 253 już jest w magazynie, trzeba go ochrzcić.

W tej uroczystości biorą udział wszyscy urzędnicy, pracujący w biurze, każdy daje swój projekt — wybieramy najlepszy i wpisujemy do katalogu.

Mamy więc: „Zbójnika Janosika”, „Grubego błaznika”, „Wesołego Mačka”, „Krasnoludka z kogutami”, „Dostojnego króla”, „Piękną królowę”, „Wojowniczego rycerzyka”, „Czupurne koguty”, „Galopującego jeźdźca” i t. p.

Zabawka ochrzczona, z numerem, zapakowana w papier czeka już tylko na podróż do sklepu, a potem do rąk jakiegoś małego Juraska, który ją prędko... — ale Jurek nie dał mi dokończyć, położył swą małą rączkę na moich ustach:

— Ja wiem, co ty chciała powiedzieć, zobaczysz, jak ja będę teraz szanował zabawki.

— Zobaczymy!

M. Wertensteinówna.

Z świątecznego Londynu.

Przed domek ogrodnika Nortona zajeżdżały od rana wózki, kręcili się posłańcy. Ruch panował, jak w ulu. Cała rodzina i pomocnicy mieli mnóstwo roboty. Co chwila wynoszono naręcza zieloności, ostrokrzewu i jemioli. Londyn stroił się na Boże Narodzenie!

— Tatku, schowaj trochę dla nas, bo nic nie zostanie! — prosiła Flora.

— Moglibyśmy już jechać do miasta, obiecałeś, tatku — przypomniał mały Filip. — Podarunki świąteczne!

— Za cóż kupimy, jak towaru nie sprzedamy? — śmiał się ogrodnik. Rad był: targ udał się dziś świetnie.

— Mają jeszcze przyjechać po kwiaty z willi na Belsire Park.

— Ciocia Nela załatwi!

— A nasz dom kto przystroi?

— Wszyscy, jak wrócimy, Bob Stevens przyjdzie pomóc.

I Flora pobiegnęła się przebrać. Po drodze wpadła do kuchni.

— Mamo, jedziemy! Co ci przywieźć, Betty?

Pani Norton z pomocnicą Betty zajęte były skomplikowanymi przygotowaniami do jutrzejszej uczty. Ogromny tradycyjny indyk wisiał koło okna, na stole stały różnej wielkości plum-puddingi¹⁾, częściowo przeznaczone do wysyłania dla znajomych.

— Szkoda, że nie mogę pomóc w pakowaniu! Czy można zjeść rodzynek? I skosztować ciastek?

— Łakomczuchu!

Ucisnęła matkę i szybko nakłada czerwony beret.

Cała czwórka rusza żwawo w stronę stacji kolei podziemnej. W tej spokojnej, oddalonej od środka miasta dzielnicy, ruch też dziś panuje niezwykły. Ludzie wszyscy się śpieszą, mają miny rozradowane, przejęte... Nawet słonko zabłysło na chwilę po długich tygodniach mgły, jest rześwo i przyjemnie.

Wagony mkną błyskawicznie w podziemnym tunelu; Flora oblicza w skupieniu swoje szylingi i pency, Filip z Harrym szeptem narażają się nad podarkiem dla siostry. Bo dzisiaj w Anglii obdarowują się wszyscy! Choćby najmniejszy, najskromniejszy upominek musi się znaleźć dla każdego.

Oxford Circus! Porywa ich nurt najzgiełkliwszej ulicy. Płynie fala ludzka z szumem i gwarem.

„Christmas!”²⁾ Wszędzie to czarowne słowo. Widać je za każdą szybą, słyhać w radosnej wrzawie ulicy. Jakże się cudnie postroiły wystawy, jakież śliczne księgarskie witryny! Tu znów gwiazdkowe wyprzedaże, pokazy, bazyry, zieleń, jemiola, stopy australijskich i kanadyjskich owoców — przedziwnych towarów z kolonij.

Pogubili się w olbrzymim składzie, gdzie na wielu piętrach,

¹⁾ Plum-pudding jest to rodzaj placka, który się daje długo przechowywać i należy do tradycyjnych potraw świątecznych.

²⁾ Boże Narodzenie.

w wielu, w wielu salach można dostać, czego dusza zapagnie. Dla ojca niespodzianka: spinki. Dla matki trudniejsza sprawa: Flora chciała szalik jedwabny, Harry rękawiczki, a mały Fil lornetkę!

Ojciec pogodził ich jednak i wspólnie z nim kupili nową serwetę na stół do jadalni. Trudności wynikły z cenami, różne wahania i namysły zabrały trochę czasu. Wkońcu nabyli dla wszystkich dłobiazgi, sobie wzajemnie ofiarowali cukierki, bo na co innego już zabrakło pieniędzy! Wielkie plany odłożone zostały do lepszych czasów! Obładowani paczkami, szczęśliwi dążyli przez zalane jasnością ulice. Światło, światło wszędzie, białe, kolorowe sygnały, reklamy migocące, znikające. Autobusy, auta, trąbki, ludzie — ludzie... Londyn...

Szeleszczą zielone, błyszczące gałązki, czerwienią się jagody ostrokrzewu. Delikatna jemiola kołysze się pod lampą. Wieńce, girlandy owijają się koło drzwi, zwisają nad oknami, okrywają ściany. Radośnie pracuje cała rodzina. Jeszcze drzewko przystroić dla Fila. Bo Fil śpi, syty wrażeń... Flora spogląda z drabinki:

— Jak dobrze jest w domu...

— Jak dobrze, że są święta — odpowiada Harry i przybija ponad drzwiami napis: „Merry Christmas” (Wesołych Świąt).

T. Zubrzycka.

Kolęda.

Dziwują się pastuszkowie,
dziwują
i modremi się oczami
wpatrują.
Śliczny Anioł ze skrzydłami
białymi
zstąpił z nieba, idzie ku nim
po ziemi.
— A moiżwy pastuszkowie,
chudziątka,
dla was dzisiaj pierwszy uśmiech
Dzieciątka.
A moiżwy pastuszkowie,
niebogi,

idźcie żywo do stajenki
ubogiej.
Idźcie żywo z piosenkami,
z darami,
tam, gdzie gwiazdka błyszczec będzie
nad wami.
Dziwują się pastuszkowie,
dziwują,
idą prędko, różne dary
szykują.
To ten serek, to ten kure,
jagniątko,
by ucieszyć przenajświętsze
Dzieciątko.

ALINA KWIECIŃSKA.

17)

Wesoła gromada.

Opowiadanie z życia szkolnego.

Napisała Janina Porazińska.

XV.

Szybko zleciał czas i nadeszły święta. Dzieciaki wciąż się były po chatach schodziły.

Wszystko uradzono. Wszystko w cichości po chatach przygotowano. Nawet z choinką poszło łatwo. Przychodzi raz do klasy Brygida i powiada:



Toż to zaraz zrobiło się wesoło!

— O choinkę nie frasujcie się. Prosiłam ojca. Pozwolił wyciąć w zagajniku świerczek, tylko, że sam z nami pójdzie i pokaże — który.

Wszyscy aż się dziwili, bo Brygida zawsze była strasznie nieużyta, nic nikomu, a tu pierwsza chce pomóc.

Wszyscy poznali, że widocznie Brygida widzi, jak to przykro być nielubianą i teraz chce się zrobić inną. Więc zaraz Wicek zawołał:

— Nasza Brygideczka! Hop! ją do kółeczka!

Wyciągnęli Brygidę na środek klasy, zrobili dokoła niej koło i dalej hasać, aż się stara chałupa szkolna trzęsa.

W dzień wigilijny od rana zaprosiła panią pani aptekarzowa (bo też należała do znowy).

Zaledwie sanki z panią zniknęły za pierwszym zakrętem, Kazik, który już tego pilnował, gwizdnął, jak kos, i zaskrzeczał, jak sroka. Na ten znak z każdej chałupy wyskoczył jakiś nieduży ludzieniek, okręcony w chustkę albo otulony kożuszką i gnał do szkoły, aż się za nim śnieg kurzył.

Gdy zaczęło mrozić, starszy brat Teofil założył siwka do sanek i po panią pojechał. Zdążyli wrócić, nim się pierwsza gwiazda na niebie zatliła.

Otrzeptała się pani ze śniegu, wchodzi do swej izdebki i aż krzyknęła ze zdumienia: co za odmiana, co za śliczności!

Ściany ubrane gałązkami choiny.

Uwiązany do belki u stropu zwiesza się na izbę **sad** (jak go to jeszcze gdzieindziej nazywają *podłazek*), świerczek przybrany w jabłka i orzechy. W każdym rogu izby stoi snop, w każdym innego zboża: żyta, pszenicy, jęczmienia i owsa. Na stole dwa nakrycia — to drugie dla „zagórskich panów” — że to może ktoś bezdomny się trafić; nie godzi się go w ten wieczór od proga odprawiać, trzeba do stołu zaprosić, postnikiem — tą wieczerzą wigilijną — uczestować.

Wszystko dzieciaki zrobiły tak, jak im doradziła babka Jacka, bo to najstarsza gospodyni we wsi, dawny obyczaj zna dobrze.

Podchodzi pani do stołu a tam na talerzu cała gwiazda ułożona z paseczków opłatka. Przy tym pasku karteczka z napisem: Marek, przy tym drugim z napisem: Zośka, dalej — Jacek, Kazik, Andzia, Brygida... i tak dalej. Na ostatnim pasku:

— I ja też, Mańka.

I tak wszystkie dzieci, chociaż wieczerzały ze swemi rodzinami po swoich chatach, w tej chwili dzieliły się z panią opłatkiem.

Pani usta zadręgały i oczy zaszkliły się łzami. Poczula, że w swej samotnej izdebce nie jest sama. Jest tu z nią w tej chwili tyle kochanych serc.

Aż tu i „zagórski pan” niespodzianie się trafił. Doktor wracał od chorego, wstąpił podzielić się opłatkiem i został u pani na wieczerzy.

Nie wiedziała pani, że czeka ją jeszcze jedna niespodzianka. Dojadali właśnie ostatnią potrawę: kluski z makiem, gdy stare schody okrutnie zaczęły trzeszczeć, barjerka piszczeć, a całe poddasze aż zatrzęsło się nagle od śpiewu:

„Bóg się rodzi, moc truchleje”...

I w otwartych drzwiach stanęła ogromna, jarząca gwiazda.

Nie było widać, kto stoi poza gwiazdą, tam w głębokim mroku sionki i spadzistych schodków, ale pani — doskonale poznała te wszystkie kochane głosy. Toż to zaraz zrobiło się wesoło!

Dalszy ciąg nastąpi.

Nasze obrazki.

Wojciech Gerson. — Królowa Jadwiga przyjmuje posłów litewskich.

Zdarzało się w różnych czasach i u różnych narodów, iż na tronie królewskim zasiadały kobiety, niemasz jednak w historii świata postaci piękniejszej, czystszej, bardziej anielskiej i bohaterskiej zarazem, jak nasza królowa Jadwiga! Oto widzimy na obrazie tę dziewczeczkę piętnastoletnią, strojną w koronę, pod którą pochyla się jej młodzieńcza główka. Kwiatek to, który, zdaje się, pierwszy podmuchi wiatru zmrozić może. Tak się zdaje, a jednak w piersiach tych bije bohaterskie serce.

Oto stanęli przed nią posłowie narodu obcego, narodu, o którym słyszy, iż w puszczech żyje i z dzikim zwierzem się zмага, stanęli, klękają, ręce wznoszą, dary składają i proszą: „Weź za męża księcia naszego Jagiełłę!” Waha się młoda królowa. Jakże tu wiązać młode życie z człowiekiem o lat wiele starszym, nieznanym?

— Weź go za męża — nalegają posłowie, nalegają polscy panowie, nalega duchowieństwo. — Litwę na wieki zwiąż z Polską, daj wiare świętą wielkiemu ludowi! — proszą posłowie.

Oto jeden z nich stoi i przemawia, drugi czołem bije, inni dary bogate niosą.

Stali ozdobni przez ubiór i zbroje
pierwsi z rycerstwa Litwy i Polaków,
brzęcząc, jak gdyby pszczoł wiosenne roje,
i chwając pióra ogromnych szyszaków. (Niemcewicz).

I oto stała się rzecz wielka, wiekopomna: dwa narody złączone w jedno państwo, nie wojną, nie gwałtem, nie przemocą, ale wolą, zgodną umową, dobrowolną przysięgą.

Tę właśnie wielką chwilę widzimy odtworzoną na obrazie Wojciecha Gersona, jednego z malarzy polskich zeszłego wieku. Dziecię Warszawy, tu urodzony i wychowany, krajowi swojemu służył życie całe, malując polski krajobraz, polski lud i polską przeszłość. Jeden z pierwszych całą Polskę i Litwę piechotą przemierzył, nie dla pustej ciekawości albo przyjemności wycieczkowania, ale dlatego, żeby malować i rysować stare polskie zabytki, kościoły, zamki, z których wiele dziś już w gruzach leży. Dziś wycieczki takie to rzecz zwykła, ale wówczas, lat temu kilkadziesiąt, mało kto je odbywał, chyba taki, który w sercu niósł wielką miłość kraju, a w duszy chęć służenia mu.

Gerson pozostawił spuściznę ogromną, około trzystu obrazów różnej wielkości i treści, oraz cały ogromny szereg uczniów, z których wielu zyskało sławę znakomitych artystów.

M. Gerson - Dąbrowską.

Figiel Napoleona

W Ajaccio, stołecznem mieście Korsyki, przy małym placyku wznosi się skromna dwupiętrowa kamienica, w drugiej połowie 18-go wieku należąca do państwa Karolostwa Bonaparte. Niebogato tam było, gdyż ciągle zamieszki wojenne zubożyły Korsykę, a zawód obrońcy sądowego niewiele przynosił panu Karolowi.

Mimo to, cały dom rozbrzmiewał gwarem, śmiechem i weselem, zaludniało go bowiem ośmioro dzieci: trzy dziewczynki: — Eliza, Karolina i Paulina, jedna piękniejsza od drugiej, i pięciu chłopców, z wyjątkiem malutkiego Hieronima, najgorszych pod słońcem urwisów.

Matka, młoda jeszcze i piękna pani Letycja, musiała trzymać ich żelazną ręką, najwięcej jednak kłopotu przyczyniał jej średni syn, siedmioletni Napoleon, nieoprawny łobuz, przewodzący nad starszymi braćmi, pierwszy do wszelkich psot i figlów.

Przed samym Bożem Narodzeniem krewny państwa Bonaparte, chcąc wywdziżyć się panu Karolowi za wygranie sprawy, podarował dzieciom żłobek własnej roboty — *il Presepìo* — ale jaki! Były tam misternie wystrugane z drzewa: Matka Boska w czerwonej sukni i szafirowym płaszczu, trzymająca na kolanach Dzieciątko — *Gesù Bambino*; był Św. Józef z konopiastą brodą; pasterze w kozich skórach i Trzej Królowie w płaszczach, błyszczących od szychu i w koronach, ślicznie wyciętych ze złoczonej blachy. Był nawet wół i osioł, podobniejsi do apokaliptycznych bestyj, niż do prawdziwych zwierząt. Nad stajenką zaś jaśniała gwiazda betleemska, ze srebrnego papieru sklejana.

Radość i zachwył dzieci nie miały granic. W całym Ajaccio nie było drugiego takiego żłobka! Gorąco podziękowały dobremu wujasz-kowi Gwidonowi za wspaniały podarunek i nie odchodziły od żłobka, ustawionego w pokoju starszych chłopców.

Pewnego dnia, po Świętach, blisko od godziny niezwykła cisza panowała w dziecinnym pokoju. Zaniepokoiło to panią Letycję.

— Saverio — rzekła do służącej, — boję się, czy chłopcy czego nie zbroili; wcale ich nie słyhać. Zobacz, co oni robią.

W tej chwili otworzyły się drzwi i do pokoju weszło w uroczystym pochodzie trzech malców: Napoleon, Józef i Ludwik — Lucjan był chory i leżał w łóżeczku, nie mógł więc uczestniczyć w zabawie. Każdy z nich miał na głowie koronę ze złoczonej blachy.

Napoleon zdjął je Trzem Królom, a niemało się nabiedził, zanim oderwał ćwieczki, któremi były przytwierdzone, dlatego przez godzinę było tak cicho w dziecinnym pokoju.

„Miłe złego początki, lecz koniec żaloszny”... Pani Letycja gniewała się na chłopców, że popsuli piękny żłobek i ukarała ich.

W kilkadziesiąt lat później, kiedy Napoleon, zostawszy cesarzem, obdarzył swoich trzech braci królewskimi koronami, pani Letycja nieraz przypominała sobie to zdarzenie z lat dziecinnych wielkiego syna, który sławą swego imienia napenił świat cały.

Z. Sokołowska.



ZBLISKA I ZDALEKA

ZAGROŻONE MIASTO. W Liverpoolu rozbił się statek, wiozący 8.000 ton nafty. Olbrzymi strumień nafty popłynął rzeką w kierunku przedmieść Liverpoolu. Policja musiała zamknąć dostęp do rzeki w obawie pożaru, dopóki nafta nie spłynęła do morza.

NOWY REKORD LINDBERGA. Lotnik amerykański, który pierwszy przeleciał z Ameryki do Europy, dokonał nowego śmiałego lotu, przebywając 3.200 km. w niepomyślnych warunkach z New-Yorku do Meksyku w przeciągu 26 godzin.

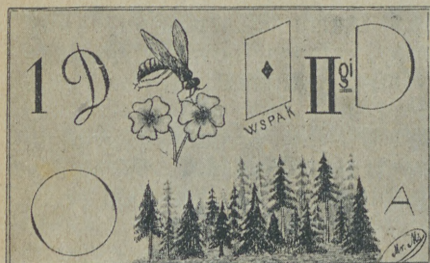
10-LECIE NIEPODLEGŁOŚCI FINLANDJI. W połowie grudnia r. b., Finlandja obchodziła 10-lecie swjej niepodległości. W stolicy Polski uczczono było to święto zaprzyjaźnionego z nami narodu przez uroczysty obchód.



CIEKAWE SĄ TE „ZAMORSKIE” ZABAWKI — ALE CZY ŁADNE?



REBUS.



ŁAMIGŁÓWKA.

Nadesłała Kazia Miedziejewska.

W cztery kwadraty wpisać wyraz „Pustynia”. W jednym kwadracie może być tylko jedna litera.

SZARADA.

Pierwsze — robią z mleka,
Drugie — to litera.
A gdy — całe bić przestanie,
To człowiek umiera.

DWUZNACZNIK.

W teatrze dobrze zagrana i bawi i uczy.
Ziemia, dobrze uprawiana, i żywi i tuczy.

ROZWIĄZANIA Z Nr. 11.

Kwadratu magicznego: PUCK, UCHO, CHÓR, KORA.
Szarady: PARYŻ. Żagadki: PIŁA.

CO BĘDZIE DLA WAS W „RADJO”.

Dn. 4 stycznia, w środę, transmisja z Krakowa.

Dn. 7 stycznia, w sobotę, transmisja z Krakowa.

Dn. 9 stycznia, w poniedziałek (17.45—18.15), program dla dzieci: p. Zofja Szadebergowa wygłosi pogadankę historyczną p. t. „Jak się dzieci uczyły i bawiły w dawnych czasach”.

Dn. 11 stycznia, w środę, transmisja z Krakowa.

Największa przyjemność w dni świąteczne to „Szopka Gwiazdkowa” w sali Konserwatorium Muzycznego, Okólnik 1, w Warszawie. Zobaczymy tam Matkę Boską z Dzieciątkiem, Trzech Królów, Pastuszków, Żydka, Króla Heroda, Anioła, Djabła, Śmierć i wiele innych osób. Przedstawienia w dni powszednie o g. 4-ej pp. i 5-ej 45 m. pp., w niedziele i święta o g. 12-ej w p., 4-ej pp. i 5-ej 45 m. pp.

Ceny miejsc od 50 gr. Bilety nabywać można w kasie Konserwatorium Muzycznego.

DO ANDZI HERSZKOWICZÓWNY W ŁODZI. Ale ta Ela z „Płomyka” była małą dziewczynką i jeszcze pewnie nie dorosła. Czy wydaje Ci się inaczej?

DO KAZIMIERZA TOMANKA W ZABŁUDOWIE. Nie wiemy, jak to rozumiesz, czy „warto iść do szkoły mechanicznej”. Jeśli masz po temu zdolności i chęci, by zajmować się mechaniką, to naturalnie dobrze jest te zdolności i chęci wykorzystać. Co do tego zjawiska niebieskiego, o którym piszesz — istotnie, nie tak łatwo na Twe pytanie odpowiedzieć. Nie wiemy, czy ta „szabla” ognista stała, czy poruszała się (w tym ostatnim wypadku mógł to być meteor), wreszcie może ten pan uległ złudzeniu wzrokowemu, co się bardzo często przytrafia.

DO JÓZEFA KUKLIŃSKIEGO W ZABŁUDOWIE. Twój wierszyk jest zupełnie słaby.

DO HANKI WARSZAWSKIEJ W ŁODZI. Najlepiej jest tak pisać, jak się czuje. Ucz się i pisz dalej.

DO RYSZARDA SOBOCINSKIEGO W NOWYM DWORZE. Czy „Płomyk” już tak nie błądzi, by trafić do Ciebie?

DO CZESŁAWA BŁASZKI W WITKOWIE. Wiersze Twoje przeczytaliśmy z zainteresowaniem. Niektóre strofki są bardzo ładne, nietylko zawierają głębszą myśl, ale i formę mają udaną.

DO IRENKI ŻYLIŃSKIEJ W WOŁOMINIE. Pewnie Ty niewiele masz czasu, by czytać swej siostrzyczce Marysi „Płomyczek”, jeśli masz tak dużo pracy. Czekamy na opis Inowłodzi.

DO WŁADYSŁAWA LEŚNIAKA W STRZYŻOWIE. Dziękujemy Ci za życzenia. Bajeczkę o Filipku otrzymaliśmy na czas.

DO ŻOSI BONDELÓWNY W OTWOCKU. Wierszyk jest słaby. Może napiszesz coś prozą.

DO W. ŁAWRYNOWICZA W WARSZAWIE. Czy z ruiny zamków znasz tylko te, które oglądałeś w Czersku?

DO BALI BURSZTYNÓWNY W BĘDZINIE. Twoja myśl jest bardzo szlachetna i zająca, by każde dziecko dało 2 grosze na powodzian. Uczyniłoby to dość poważną sumę, ale nie tak ogromną, jak Ci się wydaje.

DO S. MICHAŁOWSKIEJ. Nie pamiętamy już Twego wiersza. Żeby jednak pisać wiersze, trzeba jeszcze wiele umieć, nietylko trzeba talentu. Narazie ucz się, a kiedyś, jeśli poczujesz chęć, spróbuj jeszcze napisać co. Może wtedy wiersz będzie bardziej udany.

DO ROMANA POCILASA. Twój opis wycieczki zajmujący, ale trudno drukować w zimie o tem, co się działo w lecie.

DO HELI MALICKIEJ W POZNANIU. Widzisz — nie zapomnieliśmy. Napisz nam coś o sobie.

DO HANKI JAKUBOWSKIEJ W KAZIMIERZOWIE. Na co chorowałaś? Istotnie, Marek z „Wesołej gromady” to dzielny chłopiec.

DO FLORCI AMANOWICZÓWNY W ZARZECZU. To, że ktoś lubi zwierzęta, dowodzi tylko, że ma dobre serce. Istotnie szkoda, że nie mogłaś uczyć się dalej z powodu braku dalszych oddziałów. Jeszcze sporo upłynie czasu, zanim wszystkie szkoły będą miały pełne 7 oddziałów.

DO PELAGJI PIOTROWSKIEJ, ROZALJI WOŹNIAKÓWNY, ELEONORY i MARJI REMBENÓWIEN W KONARACH. Dobrze, żeście się zdobyły na odwagę i napisały takie staranne i miłe liściki. Piszcie do nas śmiało — chętnie będziemy Wam odpisywali. Pozdrowcie od nas Pana Nauczyciela i poproście Go, by nadesłał nam Wasze wypracowania o Filipku.

DO KL. IV i V SZKOŁY POWSZ. W KALISZU. Czy byliście już w Gochowie?

ZAKOŃCZENIE „TURNIEJU ROZRYWKOWEGO”.

W dalszym ciągu podajemy listę naszych Czytelników, którzy wzięli udział w „Turnieju Rozrywkowym”.

21 punkt osiągnęli: Mrozowski Bonio, Warszawa; David Stefan, Kraków; Ofierzyńska Rena, Wolsztyn; Pytlakowski Andrzej, Lublin; Kowalewska Celina, Wiszniów.

19 punktów osiągnęli: Ochalski J., Warszawa; Stockknopf Stefan, Lwów; Fajans B., Białystok; Sikorowska Marychna, Dobrze; Rodzko W., Weresków; Bukowski Modest, Siedlce.

PORADNIA RADJOTECHNICZNA (PoR)

W A R S Z A W A

ul. STARE-MIASTO 38. Tel. 304-01 Konto Czekowe w P. K. O. 13.476

pod Kierunkiem Wacława Szczęsnego.

POR udziela porad w sprawach Radjo: odbioru, nadawania, budowy aparatów

Porada kosztuje 3 złote.

Każdy, kto nadeśle 2 zł., oprócz porady otrzyma książkę W. Szczęsnego: Szkolnictwo niższe, średnie i wyższe w Polsce. Drobne pytania na pocztówkach z odpowiedzią **bezpłatnie**.

POR poleca całkowity materiał na aparat kryształkowy (antena, słuchawki, kryształ i t. p.) od 26 zł.

Poradnia poleca książki W. Szczęsnego:

1) „Pierwsza książka Radjoamatora“, najprzystępniejszy wykład teorii Radjotechniki i najdokładniejsze przepisy budowy prostych aparatów 2 zł. 50 gr.

2) Jak sobie samemu zbudować odbiornik kryształkowy i wzmacniacz do niego. Odbiór stacyj zagranicznych na kryształ . . . 2.— zł.

Każdy, kto nadeśle do Poradni zapłatę zgóry, za przesyłkę nie płaci.

O F I A R Y.

Na Ligę Obrony Powietrznej Państwa.

Szkoła powsz. w Górze Kalwarji — 20 zł. 35 gr.; oddz. IV i V szkoły powsz. w Chorzelach — 21 zł. 85 gr.

Dodatek do niniejszego numeru stanowi reprodukcja obrazu W. Gersona: Królowa Jadwiga przyjmuje posłów.

W A R U N K I P R E N U M E R A T Y:

„Płomyk” miesięcznie 1 zł. 50 gr. — za cały rok szkolny 14 zł.
„Płomyczek” „ 1 zł. — — „ „ „ „ 9 zł.
„Płomyk” z „Płomyczkiem” miesięcznie 2 zł. — — „ „ „ „ 18 zł.

Ceny obliczone z kosztami przesyłki.

Numer pojedynczy: „Płomyka” — 40 gr., „Płomyczka” — 25 gr.,
„Płomyka” z „Płomyczkiem” — 50 gr.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, ul. Świętokrzyska № 18.

№ telefonu 322-18.

Konto czekowe P. K. O. № 6880.

Redaktorka przyjmuje od g. 1 do 3, prócz wtorków i sobót.

Wydawca: w imieniu Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych —
JÓZEF WŁODARSKI. Redaktorka — HELENA RADWANOWA.

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA”, Warszawa, Sienna 15.